

O KOBIECIE, KTÓRA
NIOSŁA WODE

AGNIESZKA JĘDRUCH

BookEdit

Copyright © Agnieszka Jędruch, 2026
Projekt okładki: Dawid Duszka
Ilustracja na okładce: Agnieszka Jędruch
Redakcja: Magdalena Ceglarz
DTP: Graph-Sign

ISBN: 978-83-68750-54-6

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

ROZDZIAŁ 1

KRÓLOWA WODY

- Woda – jeden z czterech żywiołów. W kartach tarota symbolizuje dostęp do głębokich emocji. Bezwarunkową miłość, empatię, wrażliwość oraz opiekuńczość. Reprezentuje archetyp czulej matki, artystki, uzdrowicielki. Woda jest niezbędna do powstawania życia. Nawilża, oczyszcza, obmywa, poi.
- Znana w wielu formach: może być stojąca, falująca albo rwąca. Może być orzeźwiającym napojem, ciepłą falą obmywającą ciało lub niebezpiecznym tsunami. Ma różne formy skupienia.
- Symbolem żywiołu wody są puchary.

Joanna otworzyła oczy. Wzdrygnęła się. Gdzie jestem? – pomyślała.

Rozejrzała się wokół, jednocześnie sprawdzając dłonią znajomą delikatność satynowej pościeli. Majowe poranne słońce wpadało do sypialni, malując na ścianie i podłodze jasne plamy. Dom – odetchnęła z ulgą. Znowu miała ten sen.

Siedziała w kącie na strychu przerażona i zziębnięta. Miała zgrabiałe ręce, nasłuchiwała, bo czuła niepokój. Swoją drogą, całkiem ładny był ten strych, przestronny i jasny. Tylko to zimno i lęk. Wokół było życie.

Z zewnątrz dochodziły do niej głosy dzieci, szum niedalekiej ulicy i śpiew ptaków. A ona na wpół martwa w tym śnie.

No więc wstaje. Szklanka ciepłej wody, kawa. Rzut oka w lustro. Dzień się zaczyna.

Budzi Łucję. Ostatnie dni przed maturą córki. Czuje jakieś napięcie. I rozczulenie. Bo coś nadchodzi. Jej świat się zmienia i przekształca. Nieuniknione. Już wkrótce nastąpi ten moment, gdy zostanie całkiem sama. Dzieci rozpoczną własne życie, nie wolno ich wiązać.

I chociaż jest dzisiaj i ta matura, i praca, i sto różnych rzeczy do ogarnięcia, idzie zmiana. Bo gdzieś w środku, w głębi, ta część życia już się wali. Tarotowa wieża i zgłiszcza. I nie ma wyjścia.

Stoi wśród ruin. Znów jakaś nowa droga przed nią. Uśmiecha się do siebie, bo już wie, po tylu przeżytych latach, po tylu rozpadniętych wieżach, że przeżyje. Że znów wyruszy. Pozostało jej tylko zająć się sobą, posłuchać wołania duszy, odważyć się.

Ubiera się, toaleta, szybki codzienny makijaż. Już jest gotowa. Poranny spacer do pobliskiej Biedronki. Idzie niespiesznie, rozgląda się. Wokół poranny ruch, dzieci pędzą na autobus do szkoły, mamy zniecierpliwione pokrzykują na marudzących przedszkolaków. Przyroda piękna i bujna obfitością zieleni i kolorów. Życie wokół się toczy zwyczajnym majowym rytmem. Tylko Joanna jakaś spowolniała. Dobrą powolnością, która pozwala jej czuć na twarzy promienie słońca, powiew chłodnego, porannego wiatru, zapach zieleni.

Szybkie zakupy, proste produkty. Trochę automatyczne, bo Joanna zna na pamięć każdą półkę w tym sklepie. Wraca do domu, przygotowuje śniadanie. Trochę uroczyscie, bardziej poważnie niż zazwyczaj, bo przecież matura. Łucja gotowa. Delikatne napięcie wokół. Pierwszy dzień. Język polski pisemny. Joanna obejmuje córkę. Całus w czubek głowy. Trochę trudno, bo Łucja dawno przerosła matkę. Trochę śmiechu przy tym. Idzie. Joanna stoi w drzwiach, patrzy na Łucję. Ta odwraca się

i trochę nerwowo uśmiecha, obie jednocześnie zaciskają kciuki w geście „na szczęście”.

Łucja wsiada do windy. Joanna zamyka drzwi mieszkania, szybko się wycisza, aż jest zdziwiona swoim spokojem. Tak się w nim rozgościła wewnątrz, rozsiadła. Ogarnia kuchnię. Uśmiecha się do siebie. Praca za chwilę. Dom. Dobry dzień. Podobnie jak ostatni tydzień, miesiąc czy rok. Bo wcześniej tyle razy się rozpadła. Tyle razy niebo przywaliło grzmotem znienacka. Śmierć męża. Dramat.

Nagle rozpadło się wszystko, co było dotychczas. I chociaż to wspólne życie nie było kwitnącym szczęśliwością ogrodem, to jednak przędło się w jakimś przewidywalnym porządku. I choć marzyła o rozstaniu, to, co się wydarzyło, roztrzaskało jej świat na drobne kawałki. Założyło maskę. Jeszcze bardziej nienaruszalną. Ciężką.

Puste oczy wymalowane na kamieniu, uśmiech bez grama czucia. Do przodu, bo przecież trzeba było. Nie było innego wyjścia. Ogarnąć rzeczywistość, zadbać o dzieci. I to, co miała w środku, całe rozczarowanie, wściekłość i przerażenie, musiała zapieczętować. Zamknęła. Poszła dalej. Zwolniła się z pracy, której od dawna już nie czuła, zaryzykowała swoją własną działalność. Trzy miesiące później przyszła pandemia. Takie to wszystko było dziwne. Świat stał się nierealny. Robiła codzienne maleńkie kroki. Podłogę trzeba było umyć. Obiad zrobić. Narysować coś z córką. Nie załamać się. Przetrwać. Przetrwała.

Powoli szła dalej. Ścieżka się zmieniała. Szła sama. Choć trudno jej było w to uwierzyć, powoli ogarniała życie. Albo może życie ogarniało ją?

Gabinet psychoterapeutyczny, który prowadziła, rozkręcił się. Przychodzili ludzie ze swoimi historiami. Ze swoimi dramatami i siłą. Zmieniali się, brali z życiem za bary, jak ona. Stając z lękiem twarzą w twarz.

Majowa niedziela

Za oknem słońce. Wewnątrz Joanny też pogoda. Ciepło i jasno. Patrzy na siebie w lustrze. Widzi ciemną blondynkę ze srebrnymi pasemkami. Kurczę, od trzydziestu kilku lat nie widziałam swoich włosów – myśli Joanna. Teraz odrosły naturalnie, długość do ramienia, proste. Ładne te włosy – dodała w myślach.

Tyle lat je zakrywała, męczyła, farbowała jasną farbą. Właściwie nie wie nawet dlaczego.

To ja. Dzień dobry, Joanno – uśmiecha się do siebie. Przygląda się w lustrze własnej twarzy. Patrzy i widzi – pierwszy raz od dawna, nawet nie pamięta od kiedy. Uważnie się przygląda. Widzi drobne zmarszczki, popękane naczynka krwionośne, kolor oczu. Zauważa zmiany, które przyszły wraz z mijającym czasem. Jakąś czułość czuje sama do siebie. Dobrze uczucie.

Joanna obmywa twarz ciepłą wodą. Dobry poranek. Spokój. Luźno w ciele i w głowie. Nowy etap w jej życiu się zaczął i nie ma już odwrotu. Nikt nie zapytał o zgodę. Po prostu życie w swoim naturalnym rytmie płynie. Jak pory roku: wiosna, lato, jesień i zima. Pomimo lęku, gdzieś w głębi wie, że pójdzie do przodu, że droga się jej pokaże. Choć jeszcze nie wie jaka.

Ostatni rok to czas domknięć i nowych początków. Rozpoczęła nowe ścieżki. Pierwszy raz odważyła się pojechać sama za granicę. Spełniła marzenie. Marzenie dziewczyny ze skromnego, polskiego małomiasteczkowego domu. Zawsze kochała odkrywanie świata, lecz do tej pory jeździła zabezpieczona, z biurem podróży, ze znajomymi, wcześniej z mężem. Zawsze zdana na kogoś. I zawstydzona w jakiś sposób tą zależnością.

Trzy lata temu, po pięćdziesiątce, zaczęła uczyć się angielskiego. Trochę sama, potem w grupie. To było ogromne wyzwanie. Zwłaszcza na początku. Bo widziana przez innych, bo nie potrafiła, bo innym szło lepiej. Dobra szkoła – zmierzyć się z własnym „nie potrafię” i robić dalej pomimo.

I ten wstyd. No, ale poszło. Odkryła w sobie albo tylko uświadomiła sobie własną odwagę i determinację. Że będzie się uczyć i próbować. Pomimo suchości w gardle, pomimo płonących policzków, gdy nie potrafiła. Bo chce. Bo może chcieć, bo jej chcenie jest ważne. No i ostatniej jesieni poleciała sama do Kalabrii, do Włoch. Coś ją zawołało i zrobiła to. Kulawo się dogadywała, ale przeżyła. Chwile napięcia i zawstydzienia mieszały się z momentami dumy i radości. Bo dotarła, gdzie chciała, załatwiła, co chciała, poruszała się wypożyczonym samochodem. Wspaniale się czuła, gdy rozmawiała ze stewardessą w samolocie, panią w wypożyczalni samochodów, właścicielem hoteliku, w którym się zatrzymała. Pomimo łamanych słów, pomieszanych czasów i własnego zakłopotania.

Ta samodzielna podróż coś w niej zmieniała. Rozkochała się w wolności i w tych miejscach. Było pięknie. Morze jak z obrazka i góry. Starożytne miasteczka bez tłumów, widoki oszałamiające, kolor światła. Przypomniała sobie ten stan ekscytacji i spokoju. Głębokiego zaufania. Zachwytu. I rozbujanej ciekawości. I co dalej?

Wyraźnie czuje, że zmiana już się dzieje, nadchodzi inne, nowe. Takie figlarne, bo ona nie wie. Zazwyczaj wiedziała. Miała jakiś cel, na ogół również plan. A teraz nie ma. A może można dać się ponieść życiu? Popłynąć. Córki dorosły, praca w dotychczasowej formie odchodzi. Już nie przyjmuje nowych klientów, nie chce uwiązania. Niesie ją w stronę swobody, w stronę wolności.

Poniedziałkowy późny poranek

Piękna majowa pogoda. Do wążchania powietrza, wystawiania twarzy do słońca. Do zakochania? Może. Och, poszłaby na spacer z kimś za rękę. Do lasu, nad jezioro, jak wtedy? Jakiś czas temu, w sierpniowym ciężkim upale, zmęczona codziennością założyła konto na portalu randkowym. Ot tak, trochę dla zabawy, ale i z nadzieją, że może. Dziwne to było. Taka się czuła wystawiona, jak na półce z towarami. Wiele zaczepek, słabych konwersacji. Widziała, kto wchodzi na jej konto.

Jeden mężczyzna, głęboko osadzone oczy, poważna, smutna twarz. Jakaś tajemnica. W końcu napisał. Inaczej. Elegancko. Jak ze starej książki. Mieszkał daleko, ale pochodził z jej miasta. Wspomnienia miejsc i ludzi znanych im obojgu. Było ciekawie, ciepło i miło. W końcu przyjechał. Czekał na nią przed kawiarnią, w której byli umówieni, z kwiatami. Melancholijny, kulturalny, spokojny pan. Delikatny i zaangażowany. Tak to czuła. Był pilotem. W separacji. Miał mieszkanie po rodzicach w jej mieście. Dwa psy.

Nie myślała o niczym. Dobrze jej było przy nim. Czuła się widziana, otoczona ciepłem. Wrześniowy świat nabrał barw. Spacer po lesie, nad jeziorem i rozmowy o marzeniach – o domku w lesie, o kawie parującej o poranku. Przyjeżdżał, kiedy mógł, pisał, byli w stałym kontakcie. Świat stał się przejrzysty. Każdy liść, źdźbło trawy i słoneczny promień były wyraźne. Światło rozbłysło i stało się jasno.

Nadszedł październik. Cudowny, złoty i piękny. Potem listopad. Przyjechał na kilka dni. Widywali się codziennie. Krócej lub dłużej. Spacer, rozmowy, bycie. Dobrze, och, dobrze. Szli po lesie za rękę. Miał piękne ręce, dopasowane i ciepłe, i subtelne. Było już chłodno, w końcu

listopad. Miała na sobie czerwony sweter. Powiedział, że jutro wyjeżdża i wtedy pękło jej serce.

Znasz to? Fizyczny, dogłębny ból pękającego serca? Kto zna, ten wie. Na zewnątrz ten sam zimny listopad, ta sama dłoń na jej dłoni, te same drzewa. Odprowadził ją. Przez kuchenne okno patrzyła, gdy on odchodził. Ciężkim krokiem. Powoli. Mózg rejestrował rzeczywistość jak kamera dokumentalisty. Zarejestrował wszystko. Przechylenie głowy, kolor jego butów, kota w oddali. I tylko to pęknięte serce.

Od tej pory już nic nie było takie samo. Rozdzieliła się. Jak gdyby była w dwóch światach. Tym realnym, w domu, w pracy, z córką, i w tym drugim, gdzie wielka rana w pękniętym sercu krwawi. Tak jakby nagle się obudziła, dostrzegła znaki, usłyszała słowa, których nie chciała dopuścić wcześniej. Że separacja, że życzę ci, żebyś była szczęśliwa ze mną czy beze mnie. Że gdy rozmawiali przez telefon, zawsze był poza domem. I ona też. Nie przedstawiła go nikomu, nie obwieściła światu.

Pęknięte serce. Cierpienie, gniew, odrętwienie, niedowierzanie, fizyczny ból. Pisała. Do szuflady, do Boga, do niego. Krzyczała, wyła, nie wierzyła, czekała. Słuchała wróżb, szukała znaków, usprawiedliwiała. Nienawidziła.

Uśmiechała się, zajmowała domem, opiekowała kotem. Współd-czuwała z klientami, chodziła na spacer, gotowała obiady. Grała w piłkę z Łucją. Malowała obrazy. Nieprawdopodobnie dziwny był ten czas. No i przeminął. Pozostał ślad, urywki wspomnień, zapach powietrza, żółte jesienne liście pod stopami. Ot, historia, jakich wiele, ale jej własna.

Teraz przyszło dzisiaj, z całą swoją mocą. Dzisiaj ustna matura. Joanna przygotowuje śniadanie – parującą jajecznicę ze szczypiorkiem, herbatę z cytryną, pomidory. Patrzy na córkę z czułością. Jaka dorosła. Jaka piękna. I pójdzie w świat.

Joanna usadowiła się wygodnie na kanapie, grzebie w telefonie, godzina mija powoli. Przegląda zdjęcia z ostatniej podróży. Boże, jak tam jest pięknie. Szkoda, że zdjęcia tak słabo oddają rzeczywistość.

Są takie płaskie. Pojawiają się, odtwarzają w niej obrazy, zapachy, dźwięki. Cudowne, wielowymiarowe wspomnienia. I to uczucie dobrostanu. Taka kraina światła i ciepła. Jak u siebie, jak w domu.

Telefon ożywa w jej rękach. Pojawiają się na Facebooku grupy związane z Kalabrią. Ile tego jest. Zdjęcia, filmiki, różne informacje. O dobrych restauracjach, miejscach wartych odwiedzenia, o noclegach u Polaków. Pokazują się oferty mieszkań na sprzedaż. Nad morzem, w górach. Pomiędzy. Duże, małe, drogie, tanie. Przegląda. Bez myśli. Ładne. Sprawdza ceny, przelicza.

Kurczę, dobre ceny w tej Kalabrii. A może? – zastanawia się. Hmm... chyba zwariowałam, gdzie mnie niesie? A może zadzwonię?

Dzwoni do agentki, rozmowa jest krótka i treściwa, no i kupuje bilet.

No tak, lecę, pooglądam. Wewnątrz dzwoneczki. Powiew świeżości. Żywe życie. Kurczę, zjem ten deser z kremem cytrynowym, w ciastku podobnym do muszli. Kruche ciasto, delikatny krem, pachnący. A tam tyle tych cytryn. Rosną wszędzie, panoszą się, takie ogromne. Popatrzę na morze. Te miejsca o kolorze przejrzystego turkusu z krystaliczną wodą. Przypomnę sobie. Sprawdzę, czy to wspomnienie, które w sobie noszę, jest rzeczywiste. Będę jechała samochodem albo pociągiem wzdłuż wybrzeża. I znowu nie będę się mogła zdecydować, czy patrzeć na morze, czy na góry, aż szyja zaboli od wykręcania. I te widoki, miasteczka spływające z gór prosto do morza, stare warownie na szczytach wzniesień. To piękno, które wdarło się do głowy i serca. I kawa gdzieś w malutkiej knajpcie. Ech...No dobrze, czyli lecę. Szalone może albo i nie.

Coś w niej wyraźnie nie nadąża za czymś. Nie wie, czy rozum za sercem, czy jak? No bo przecież gdzieś w głębi już wie, że kupi tam jakieś małe mieszkanko, choć jeszcze nie wie po co. Albo i wie, lecz jeszcze się boi nawet o tym myśleć. No ale czego właściwie?

No i stało się, słowa zaczynają przychodzić do jej świadomości, a nawet całe, poukładane zdania. Przecież już wie, że zostawi gabinet,

przecież już wie, że będzie tam jeździć, przecież już wie, że życie się zmieni. Wie, że ona je zmieni. Że ono nadchodzi. Z żółtością cytryn, z zapachem kawy, z barwą światła.

No dobrze. Nagle zrobiło jej się gorąco, głowa w zaciśniętej obręczy. Lęk? Jak powiem ludziom? Córkom? Rodzicom? Znajomym? Co się dzieje ze mną? Czego się boję? Że jestem dziwna? Znowu wymyślam? Albo że odważna i kogoś to rusza? – Joanna nie wie, co się dzieje, ale wie, co czuje. Lęk narasta w niej aż do mdłości. Na szczęście krótki. Bo już to zna, już przeżyła. No i najwyżej: stracę, zostanę sama, będę żałować. Jakiegoś chłopca poszukaj, usiądź na dupie – takie reakcje zapamiętała. A może sobie wymyśliła? Może już może żyć po swojemu? No i nie siądę – myśli. Chociaż przeżyłam już tyle zakończeń, tyle upadków, nie utknę w miejscu. Pójdę, polecę, popłynę. Pofrunę albo spadnę. Zarobię albo stracę. Żyję.

Poleciała. Znowu to małe, przytulne lotnisko, pachnące kawą. Miło. Poczula się jak w domu. Wymieniła kilka zdań z właścicielem pensjonatu, gdzie się zatrzymała. Ustalili, gdzie podjedzie, żeby odebrać ją z lotniska. Spociała się ze stresu. Ach, ten angielski. Przyjechał gospodarz, młody, wesoły człowiek, z fotelikami dziecięcymi na tylnym siedzeniu. Pogadali, jak umieli. Dowiedziała się, jakie ma dzieci, że ma pensjonat rodzinny po dziadku, opowiedziała trochę o sobie.

Okazało się, że dobrze wybrała. Miejsce było przyjemne, widoki piękne, spokój. Zwłaszcza poranek zachwycający. Wyjście na balkon, rześkie powietrze, zachwycająca roślinność wokół. I ten kolor światła. Cudowny.

Następnego dnia rano razem z polską agentką, Kamilą, wyruszyły oglądać mieszkania. Pierwsze, drugie, piąte. Ładne mieszkania, dobre ceny, no i jakiś wewnętrzny głos, że nie, że to nie to. A pomiędzy prezentacjami ta droga wzdłuż wybrzeża. I ten oddech głęboki, i spokój. I poruszenie duszy. I ten zachwyt niewyraźalny słowami. I przystanek na kawę i cytrynowe ciastko, i radość. .

Kolejne mieszkanie. Ładne osiedle, tuż przy morzu, przestrzeń, basen. Coś w środku wie. No tak, to tutaj. Małe mieszkanko. Taras z pięknym łukiem. Mały ogródek otoczony żywopłotem. Bardziej poczuła, niż zobaczyła, przeszła przez nie szybko. I przekonanie się pogłębiło – to tutaj. Mężczyzna, który pokazywał mieszkanie, miał mało czasu. Nie przyjrzała się dokładnie, mimo to wiedziała. Powiedziała Kamili, że je chce.

Następnego dnia obejrzała jeszcze kilka. I choć niektóre były większe, lepiej wyposażone i w pięknych miejscach, bliżej sklepu czy lotniska, Joanna była pewna pierwszego wyboru. Proces zakupu się rozpoczął. Wróciła do domu. Bała się powiedzieć komukolwiek. Ale zaczęła. Przyglądała się sobie i światu – czego się boję?

Kilkanaście lat wcześniej, w podobnej chwili, gdy doświadczyła jakiegoś oświecenia albo przymusu wewnętrznego i obwieściła światu, że idzie do szkoły psychoterapii, dostała ciągi. Usłyszała od najbliższych: Co się z tobą dzieje? Przecież Cię nie stać. A taką masz dobrą pracę. Pewną, bezpieczną, dyrektorką jesteś. A czy dasz radę? Coś Ty nawymyślała znowu. Co właściwie będziesz robić? Ile to kosztuje? Dziecko masz małe. Coś próbowało ją zatrzymać w znajomych ramach, osadzonych rolach, w jakiejś sztywności, z zimnymi dłońmi. Jej głowa roztaczała czarne scenariusze. Lęk uaktywnił kreatywność w wymyślaniu najgorszego scenariusza. Pomimo lęku, pomimo innych, mimo wszystko poszła, gdzie wołało.

Trudne były dla niej te lata, organizacyjnie i materialnie. Emocjonalnie również. Odkrywała swoje głęboko zakopane pragnienia, dotykała przerażenia, poznawała własne blaski i cienie. Jej dłonie i stopy, które wciąż były zimne, aż do fioletowości skóry, ogrzały się. Stały się ciepłe. Zaskakująca była dla niej ta zmiana. Że może mieć ciepłe stopy i dłonie. Dzisiaj, gdy wita się z klientkami lub klientami i czuje nieadekwatny chłód ich dłoni, wie – to jej siostry i bracia, zamrożone życie. Trzeba podlewać, ogrzewać słońcem, karmić oddechem, dać dobre wspólne bycie.

Zobaczyć człowieka, poczuć i przyjąć. Długa droga, na szczęście, przynosi plony. Bo ręce stają się ciepłe, bo lęku w człowieku mniej.

No i mówi. Świat się nie wali, bliscy przyjmują, cieszą się. O fajnie, fajnie. Może do Włoch pojedziemy sobie? – Joanna trochę nie dowierza, trochę czeka. No jak to? Spokój? Jestem, dorosłam, to moje życie, moje decyzje, moja odpowiedzialność. No, ale jak to? A właśnie tak. Że to moje życie, jedyne. Czego doświadczyć, na co się odważyć, tyle będę miała. Coś puszcza we mnie. Wyraźnie czuję, jakiś kawałek lęku odchodzi, rozpuszcza się, a może zmienia. I to pragnienie, tęsknota duszy. Do życia, do światła, do doświadczania. Życie tak głośno woła. Chodź, spróbuj, posmakuj, powąchaj, poczuj.

Przypomniała sobie siebie sprzed trzydziestu kilku lat, licealistkę. Jak na języku polskim pisała wypracowanie. O planach na przyszłość chyba. I jak czytała ten tekst głośno, stojąc przy tablicy, przed klasą. I jak dziwiła się temu, co napisała. Że chce czuć życie, chce podróżować, poznawać ludzi z innych krajów. Że chce mieć dzieci, chce znaleźć pracę, w której poczuje spełnienie. Że większe miasto, że samodzielność i... wielka miłość.

To są czary, myśli. Doświadczyłam wszystkiego. Nie podejrzewałam wtedy, jakie będzie to moje życie. I chociaż dzisiaj wydaje się to takie zwyczajne, jest w tym wspomnieniu, w tym uświadomieniu coś nieprawdopodobnego. Że jestem tutaj, w tym właśnie miejscu. W nowym początku. W pożegnaniu z historiami, które przeminęły. W przyglądaniu się sobie; kim teraz jestem, dokąd zmierzam. Ile razy przekroczę swoje własne ograniczenia, żeby iść dalej? Czym jest to dalej? Z kim jest to dalej? A może głębiej? Bardziej świadomie, z większą miłością. Czego ja pragnę?

Joanna robi sobie herbatę z cytryną i imbirem. Napój paruje na stoliku. Mości się na kanapie, podwija nogi pod siebie. Otwiera laptopa. Otula się miękkim granatowym kocem. Zbiera myśli. Píše pierwsze słowa. Nosi je w sobie od dawna. Słowa, które już przemieniły się w obraz.

Stojąca tyłem kobieta z fioletowymi włosami, ze złożonymi skrzydłami. Otoczona błękitem, wodą, która wylewa się z jej oczu, z jej serca i duszy. Wodą przepętnioną emocjami. Która płynie.

Pisze:

Joanna przyszła na świat na małym, zimnym strychu w powiatowym miasteczku na południu Polski. Był ponury listopad, dwudziestoletni rodzice w wynajętym, biednym mieszkaniu. Opuścili swoją rodzinną, świętokrzyską wioskę, żeby poszukać szczęścia i pracy gdzie indziej. Znaleźli miasteczko w pobliżu, z wielowiekową tradycją i nowo powstającym, dużym zakładem przemysłu dziewiarskiego. Mama Joanny ukończyła technikum włókiennicze w Zgierzu pod Łodzią i bez problemu otrzymała pracę. Tata, który uczył się na mechanika, zatrudnił się w Przedsiębiorstwie Transportu i Handlu Wewnętrznej. Młodzi ludzie, dorosłe życie, małe dziecko. Stryzek wynajęty w małym domku, mało pieniędzy, układanie się w małżeństwo.

Pierwszą opowieścią, którą Joanna usłyszała o samej sobie, była opowieść o dziecku, które nie płakało. Spała grzecznie całe noce, osikana po pachy, na zimnym strychu. Woda w wiadrze zamarzała. Aaa, to stąd te sny – myśli. Nigdy tego nie połączyła. Aż do tej pory. Jakoś ją poruszają te stare historie, bardziej niż dotychczas. I płakać jej się chce nad sobą. Tamtą malutką, taką zziębniętą, taką osobną. Niekłopotliwe z niej było dziecko, nie chorowała, doskonale się zajmowała sobą sama, uśmiechnięta i miła. No i ładna dziewczynka, duma tatusia.

Nie pamięta żadnych opowieści ze swojego dzieciństwa, żeby sprawiała jakieś kłopoty. Ot, takie grzeczne, niewidzialne dziecko. Niewiele ma wspomnień z dzieciństwa, jakby ktoś je gumką wymazał. Może to dobrze. W domu rodziców średnio się działo, coś się popsło. Role się podzieliły. Mama wzięła sprawy w swoje ręce, ogarniała rzeczywistość, załatwiała jakieś zakładowe mieszkanie, myślała za dwoje, a tata pił. Tak to jakoś było wtedy. Więc czarodziejską gumką własnej dziecięcej

intuicyjnej mądrości powymazywała sobie wspomnienia. To, co zostało, to takie ciemne, przerażające stwory. Głównie emocje zasiedlające szarym, ciężkim płaszczem ich mieszkanie. Jak gdyby w jej rodzinnym domu wciąż było zimno i ciemno. I jakoś daleko do wszystkich, choć pojawił się brat, a kilka lat później siostra.

Gdy patrzy na stare zdjęcia, widzi ładną, smutno uśmiechniętą dziewczynkę. Na rękach u taty, potem stojącą z nim za rękę. Takie ładne te zdjęcia. Tata przystojny jak młody bóg. W garniturze, elegancki. Zawsze to było ważne, żeby dobrze wyglądał. I spięta mama, jak generał w wojsku, sztywna, ponura, dyrektywna. Odpowiedzialna za wszystko. Nigdy się nie uśmiecha. Joanna nie pamięta uśmiechu swojej mamy. Nie pamięta czułości ani przytulenia. Pamięta bliskość, gdy mama wybierała jej gnidy z włosów, wyczesywała wszy. Takie to były czasy. Siedziała wtedy na dywanie, pomiędzy jej kolanami. Zawstydzona tymi wszami i tym, że robi kłopot. I z jakimś odczuwaniem przyjemności jednocześnie. Bo była tak blisko mamy.

Pamięta siebie, pierwszoklasistkę, gdy siedziała na schodach przed szkołą i bała się wrócić do domu. Bo zgrzeszyła. Mama kupiła jej piękną czerwoną kurtkę z kapturem. Taką ładną, do kościoła. A Joasia pomimo zakazu wystroiła się w nią do szkoły. Taka dumna szła w czerwonej kurtce z paskiem zapiętym na złotą sprzączkę. Po lekcjach zeszła na dół, do szatni, czyli standardowego boksu z siatki z wieszakami po dwóch stronach, i kurtki nie było. I nie wie dzisiaj, co było po powrocie, bo przecież w końcu musiała wrócić. Pamięta siebie, na szkolnych schodach. Zimno pamięta.

Tak, bardzo lubię czerwony kolor – myśli. Pomimo wspomnień. Mam tę piękną, czerwoną, lnianą sukienkę – przypomina sobie. Idzie do szafy, wyjmuje i wkłada. Okręca się wokół własnej osi, tańczy przed lustrem. No tak, prosta lniana sukienka, z falbaną na dole. I historią. W lokalnym sklepiku, na drewnianym rynku w Lanckoronie ją kupiła. Za jakieś

straszne pieniądze. Potrzebowała jej wtedy, żeby zaistnieć. Była na warsztacie rozwojowym i stykała się z dojmującym poczuciem, że jest niewidzialna. No i kupiła czerwoną sukienkę i założyła do niej różowe sandały. I wyszła na środek, by opowiedzieć swoją historię. Otulona czerwonym lnem i pewnością siebie. Ten kolor.

Coś ją rozśmiesza od środka. Brzuch drga i podskakuje ze śmiechu. To ta sukienka, ta iskra, płomień. Taka żywa się czuje, gorąca. Dłonie aż parzą. Włącza muzykę. Popularną, dynamiczną, do tańca. Płasa. Ale dobrze.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1. KRÓLOWA WODY.....	3
MAJOWA NIEDZIELA.....	6
PONIEDZIAŁKOWY PÓŹNY PORANEK.....	8
KOLEJNY MAJOWY DZIEŃ.....	17
BARBARA.....	21
ROZDZIAŁ 2 . KRÓLOWA POWIETRZA.....	23
JAKUB.....	26
POWOLNA, CIEPŁA NIEDZIELA.....	35
ROZDZIAŁ 3 . KRÓLOWA OGNI.....	37
MAŁGORZATA.....	39
ROZDZIAŁ 4 . KRÓLOWA ZIEMI.....	42
LEON.....	49
BARBARA. CIĄG DALSZY.....	53
JAKUB. CIĄG DALSZY.....	56
JOANNA. CIĄG DALSZY.....	58